

Maksymiljan de Robespierre melancholijny, a zarazem okrutny, tawał się z dnia na dzień smętniejszy. Podobnie jak Camille Desmoulins, miał duszę rzewną i odczuwał poezję Muz sie-lankowych. Było w nim bowiem dwóch ludzi. Jeden przez swój sekoiański zmysł ideologa nie-ugięty i zimny stałe zaopatrujący gilotynę, dru-gi chmurny i wrażliwy, matyl o idei powsze-chniej.

Wypada jednak przypuszczać, że pierwszy imponował drugiemu.

Pewnego popołudnia wierny zwyczajowi, u-dał się Robespierre do Cafee de la Regence.

Z kawiarni tej, o pewnych godzinach mo-żna było widzieć ów wóz nieszczęsny, jadą-cy z Conciergerie i wiozący na plac rewolucji osądzonych na śmierć. To też nie było prawie nikogo w kawiarni o tej porze, bo taki natłok uczciwych ludzi miał tamtędy przejeżdżać, że obywatele najniewinniejsi, tacy nawet, którzy dostarczali najwięcej dowodów swych uczuć o-bywatelskich, doznawali dreszczów przerażenia. W drodze trybun ludu zauważył jak uciekali na jego widok, ei co go poznali, a burzuje patrcioi stojący we drzwiach swych sklepów, bledli nagle i pospiesznie uchodzili do wnętrza. Panu de Ro-bespierre było to przykro.

— Wszakże to dla ich szczęścia, powinienem być bez litości — myślał sobie.

Siedząc na zwykłym miejscu w samotnej ka-wiarni przed ulubionym napojem, szef gilotyny oczekiwał partnerów, którzy jakoś nie nadeho-dzili, a był on wielkim amatorem szlachetnej gry szachów i chętnie przyjmował walkę strate-giczną z pierwszym lepszym. Wygrywał prawie zawsze i był z tego dumny, nie myśląc, że może strach wielki, jaki wzbudzał, mógł przeszkadzać uczynnym planom taktyki swego partnera.

Nareszcie wszedł nagle przystojny młodzie-niec, dotknął ręką trójgraniastego kapelusza i z zadziwiającą swobodą zdradzająca o milę drogi jego zajęcie, usiadł przy stole, gdzie rozmyślał samotny Maksymiljan.

— Obywatelu!

Z lekkim ukłonem, miłym uśmiechem rzucił nieostrożny młodzieniec w kąt łaskę, na stół re-kawiczki i zażądał głosem rozkazującym:

— Zamawiam grę szachów!

Robespierre nie był przyzwyczajony do ta-kich manier. Ale ponieważ był wszechwładny, więc lubił czasem, gdy mu uchybiono. Uśmie-chnął się i skinął głową przyzwalająco, nie rzeki-szy słowa.

Pierwsza partja przeszła w milezeniu. Try-bun przegrał.

— Żądasz rewanżu obywatelu?

Robespierre nieco zdenerwowany przyjął wy-zwanie, jakby nie zauważył, że jego partner już samą swą dłonią, delikatną, wypieszczoną, zdra-dzał arystokratyczne pochodzenie.

Przystojny młodzieniec wygrał.

Za wspólnem, milejącem porozumieniem gra-cze zaczęli trzecią partję.

Tym razem „nieubłagany“ grał uważnie, gro-znym milezeniem usiłując onieśmielić przeciwnika.

Ten zaś biały, różowy, z jasnymi włosami, wydawał się najzupełniej pewny siebie. Z uśmie-chem wygrał raz trzeci.

Szef „de la Moutagne“ już wściekły — za-proponował ostatnią decydującą partję.

— Owszem, — odparł młody człowiek, — ale tym razem będziemy grali o stawkę. Rodzaj jej i wysokość możemy zaraz określić.

Robespierre zachnął się:

— O to najmniejsza, zgadzam się na co zechcesz.

I grali dalej. Robespierre przegrał. Zaklął i po chwili zapytał:

— O co graliśmy?

— O głowę człowieka!

— To bezczelność! — wybuchnął trybun.

— Obywatelu, wygrałam razy cztery — od-parł spokojnie młodzieniec, — zasłużyłem więc sobie na tę stawkę. Daruj mi ją natychmiast, bo kat ma mi ją zabrać już jutro.

I szczęśliwy gracz wyjął pospiesznie z kie-szeni rozkaz ulaskawienia.

— O kogo tu chodzi? — spytał Robespierre.

— O hrabiego de Romilli.

— I ty sobie wyobrazasz, że ja ulaskawię arystokratę.

— Tu nie ma mowy o łasce, obywatelu!

Tu jest prawo gry. Ponieważ przegrałeś, więc podpisz, podpisz natychmiast.

Robespierre podpisał i spytał:

— A ty zapewne także jesteś arystokratą?

— Ja jestem obywatelką, a Romilli jest moim narzeczonym. Byłam zdecydowana umrzeć jutro o tej samej godzinie co on. Gdy ktoś o-powia lał przy mnie, że masz zwyczaj grywać w szachy w Cafee de la Regence, zaczęłam roz-ważać, rozmyślać, jednym słowem przyszłam...

— A gdybym był odmówił podpisu?

Oczy obywatelki zaiskrzyły się. Z zanadruza wychyliła się rękojeść sztyletu...

Dziękuję, do widzenia! — zawołała wesoło i lekkim krokiem wybiegła z kawiarni.

Niebawem i Robespierre opuścił kawiarnię szedł wolno, zamyślony z rękami w tył zалоżo-nemi. Przechodnie nie domyślali się, że elegan-cki dyrektor w niebieskim fraku i pudrowane peruce uratował przed chwilą głowę arystokraty

Dokąd idziem?

*Z ręką na sercu i z w rokiem do góry,
Stań dziś Rodaku, co złą idziesz drogą...
— Mówi Ojczyzna! — więc Synowie! Córy!
Słów Jej słuchajmy z czci, miłością trwoga!*

*Porzucmy wszelkie niegodne narowy,
Jak: chciwość, zemstę, żądze, lub niezgodę...
I idźmy odtąd, jako naród zdrowy,
By ujrzeć jasną przyszłości pogodę!*

*Niech nam przyświeca Mieczysławów wiara,
A Bolesławów niech zagrzewa męstwo —
Wielkich Ojczyńców niech pobożność stara,
Wiedzie ich dziatki gdzie chwala, zwycięstwo!*

*A przykład Świętych Patronów tam w niebie,
Niech nas zachęci do cnoty, ufności,
Do zgodnej pracy na ojczystej glebie,
Abyśmy stali się godni wolności...*

*Więc idźmy wszyscy odtąd drogą prawa,
Niech nic nie splamí dusz, serc polskich dzieci!
A znajdziem Pana — Królowę łaskawą,
Co w Częstochowie, w Ostrej Bramie świeci!*

*Najdrożsi Bracia! Siostry! niech te słowa,
Dojdą Was wszystkich tam, gdzie ród nasz słynie,
A Bóg Praojców osłoni, uchwata
I da nam łaskę, że Polska nie zginie!*

Na dnie Wisły

POWIEŚĆ

Z PIERWSZEJ POŁOWY XIX STULECIA

21)

Wprawdzie niejednokrotnie czyniono starania o postawienie tamy wyzyskowi niemieckiemu, lecz dotychczas z powodu braku przedsiębiorczości nie w tym razie na lepsze się nie zmieniło. Korzystają więc Niemcy z dochodów, które zapewnia komunikacja Wisłą, ich język przeważnie panuje na galarach, skutach berlińskich, tratwach, oni obracają na swój pożytek wartkie nurty tej wielkiej rzeki.

— Dziadku, ja o tem nie wiedziałam!... — rzekła Jadzia.

Starzec pokiwał głową.

— To źle, mościa panno!

Twarz Stasia Hogarta wyrażała głębokie uczucie jakiegoś postanowienia, widać było, że coś w głębi serca sobie przyrzekł:

— Ja się muszę poświęcić sztuce inżynierskiej, ja będę pracował nad uregulowaniem brzegów Wisły.

— Daj ci Boże wytrwać! — rzekł pan Mateusz. — Niegdyś za panowania króla chłopków, Kazimierza Wielkiego, ze wszystkich stron ówczesnego świata cywilizowanego, do Gdańska przybywało trzysta okrętów co rok po zboże, sól i warzywa; nad zwierciadlanymi wodami wiślanymi powstały i rozwijały się szybko nowe grody, jak np. Warszawa, zawdzięczająca pomyślność handlową i przemysłową swemu szczęśliwemu nad tą rzeką położeniu. Lecz o ileżby się wogóle zyskało po przeprowadzeniu regulacji koryta rzeki... Handel przewozowy wzrósłby niesłychanie, zwłaszcza gdy zważymy, że nawet obecnie, przy wielce pod tym względem utrudnionych środkach przychodzą rocznie do Warszawy przeszło tysiąc najrozmaitszych statków. Jakżeby wzrosła Warszawa i inne miasta nadbrzeżne, gdyby po przeprowadzeniu regulacji brzegów wiślanych, mniejsze okręty kupieckie mogły płynąć aż pod Warszawę, gdyż Wisła połączyłaby to miasto z portami morza Bałtyckiego, a przez to i z żeglugą wszechświatową... Są to marzenia, co prawda, ale dlaczegożby przy świetłej pracy i umiejętnym użytkowaniu kapitałów, nie miały się urzeczywistnić?

— Widziałem ci ja już dosyć świata — mówił dalej pan Mateusz — ale tak mało wyzyskanego porzeczka jak wiślane pol! Warszawą nie zdarzyło mi się widzieć. Petersburg, Londyn, Paryż i inne uczyniły z wód, nad którymi je wzniesiono, najpiękniejsze i najprzystojniejsze dzielnice, zaś Warszawa zaniedbała swe piękne wybrzeża, jak żadne z większych państw europejskich. Szkoda i wstyd, szkoda i strata stać, bo wreszcie cudzoziemcy użytkują to, czego swoi użytkować nie umieli. Porty i przystanie wiślane noszą cechy pierwotne, tylko przystań warszawska dzięki większemu ożywieniu i udziałowi znaczniejszych przemysłowców polskich w żegludze, z roku na rok coraz się wię-

ksza i przybiera widok przystani, zbliżonej do zachodnio europejskich.

— Ach, dziadziu — rzekł Staś Hogart — jakkolwiek niektóre porty zachodnio-europejskie są mi znane i piękności miast angielskich i francuskich położonych nad rzekami i morzami, zachwycaly mnie bardzo, to przecież gdy ujrzał po raz pierwszy schylone wierzby przystare nad zwierciadlanymi wodami Wisły, jej brzegi miejscami niskie, kobiercami łąk usłane, często urwiste i jak czoło starca pofałdowane, zarosłe wikliną, leszczyną, brzożami i olchami — wówczas o dziadziu, zapomniałem o wszelkich ulepszeniach cywilizacyjnych i błogosławilem chwilę, w której przejrzałem się w lustrzanej powierzchni Wisły...

— Moje dziecko, mój mości panie — odrzekł starzec — toć prawda, że wiele poezji mają te nierwotne przystanie na największej z rzek polskich, lecz postęp, ulepszenia, potrzeby cywilizacji stanowią wszędzie i zawsze kardynalne warunki szczęścia i dobrobytu. Przyjdzie czas, że Warszawa i inne miasta nad Wisłą położone, najpiękniejsze swe dzielnice będą zawdzięczały tej rzece. To być musi, bo tak jest wszędzie na zachodzie.

Na podobnych pogadankach z wnukami czas schodził panu Mateuszowi dość szybko.

Pewnego dnia po południu, z Warszawy nadeszły maszyny angielskie dla Dżona Bulla. Były to arcydzieła wyrobów żelaznych. Pan Mateusz z wnukami spędzili kilka godzin na wyspie Wandy, przyglądając się jak zakładano pompy, rozpalano ogień w lokomobili, mającej wprowadzić w ruch łańcuchowe szufelki, wyrzucające piasek, ziemię, żwir, kamienie z dna rzecznoego, które trzeba było pogłębić; obok tych widniały szarpaki o żelaznych grabiach i szponach, które z łatwością tegoż dnia mogły wy dostać kamień i każdy większy przedmiot.

Anglik zacierał ręce i chodził po wyspie Wandy uśmiechnięty.

— Wkrótce przekonamy się — mówił do pana Mateusza — czy przedsięwzięcie nasze da nam tysiące, ba! co mówię, miliony!... Na dnie Wisły są skarby...

Nagle umilkł, jakby się przestraszył słów własnych.

— Dno Wisły pogłębione — dodał szybko — dać może miliony...

Pan Mateusz słuchał tego, nie tając swego zdziwienia i uznania dla przedsiębiorczego cudzoziemca.

— Nasza kompanja angielsko niemiecka da nie pięćdziesiąt milionów, lecz sto milionów — mówił chodząc wokoło sprowadzonych machin, a z tych osiągniemy zyski dziesięciokrotne... ba!... stokrotnie...

Pana Mateusza najbardziej dziwiło, że Dżon, jakby mu mało było dnia, kazał kopać i zaczął przypuszczać pompy swych machin w dno Wiślane podczas nocy.

Wreszcie mniejsza byłoby, że przynagła do prac ludzi nawet podczas nocy, lecz chodziło mu o to najwięcej, że prace swe Bull posuwał s szybko w kierunku mizernej chatki starego rybaka Witalisa.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ROZMAITOŚCI

Śpiewa w sześciu językach.

Pola Negri dała „recital“ wokalny w sześciu językach i w każdym z nich śpiewała z wyraźną dykcją i wymową oraz akcentem właściwym każdemu z tych języków. Krytycy zarzucają jej odrobinę sztuczności, ale powszechnym jest podziw dla tej artystki filmowej, biegłej także w śpiewie — a wszyscy wyrażają jej uznanie za ożywienie, z jakim swój program wykonała w przeciwieństwie do innych „recitalistów“ zwykle bardzo „sztucznych“. Publiczność oklaskiwała ją przez cały czas programu. Zaznaczyć należy, że Pola Negri jest Polką.

Biała rasa wymiera.

Statystyk amerykański donosi, że rasa białych ludzi ginie. Z roku na rok maleje jej stosunek liczebny do czarnych, żółtych i brązowych ludzi. Powodem tego objawu są białe kobiety, które nie chcą tyle rodzić, ile murzynki, Chinki lub hinduski. Nietylko na całym kontynencie europejskim zmniejsza się corocznie liczba urodzin, ale to samo dzieje się w Australji, Ameryce i wszystkich kolonjach, zamieszkałych przez białą rasę. Natomiast murzyni mnożą się w tempie przyspieszonym, a normalna rodzina czarnoskórych naszych braci posiada przeciętnie 10 dzieci. Również siła rozrodcza Chińczyków i Japończyków jest większa niż białych ludzi. Japonja w roku 1950 będzie liczyła 80 milionów mieszkańców, a ludność hinduska powiększa się w tym czasie o 25 milionów. Siła tych cyfr przekonywa, iż w przeciągu 150 do 200 lat rasa biała utraci swe panowanie nad światem, albowiem już dzisiaj stanowi niespełna pół część mieszkańców całej ziemi, podczas gdy przed laty 80 liczyła połowę ludności na świecie. Najobficiej z pośród białych ludzi mnożą się słowianie i na nich to spocznie ciężar przyszłej walki z kolorowymi szczepami.

Życie egzotycznego awanturnika.

Przed kilkoma miesiącami w Marokku umarł El Rajsuli, jeden z najbardziej ciekawych awanturników ubiegłego i bieżącego stulecia. 57-letni Mulay Hamed Ben Mahomme El Rajsuli miał za sobą bujne życie kondotjera, herszta zbójców i szczęśliwego losu. Przeszłość jego to romanse egzotyczny i dziki, jak przyroda rodzinnego kraju bohatera. Już w młodym wieku uchodził za wielkiego uczonego i znakomitego znawcę mahometanizmu. Następnie słynął jako adwokat z powodu bronięcia spraw biednych i skrzywdzonych. Ale wkrótce niespodzianie uczony El Rajsuli przystał do bandy rozbójniczej. Został następnie hersztem bandy i przechwalał się, że jest z rodu Mahometa, więc żadna kula go się nie ima. Jego czyny zbójckie, napażenia na traktach na przejezdnych, przyczem także nie jeden Europejczyk ucierpiał, sprawiły, że sultan Marokka przez mocarstwa europejskie wezwany, wysłał wojsko przeciw Rajsulemu. Ale po krótkiej, bezskutecznej walce, musiał sultan uznać Rajsulego władcą „okręgu“. Sława Rajsulego

rosła. Przyczyniały się do tego jego osobiste zalety, ale także romantyczne i krwawe awantury erotyczne. Rajsuli był dla Arabów bohaterem i świętym. Wówczas to sultan Marokka Mulaj Hossan, z obawy przed rosnącą potęgą Rajsulego, wysłał przeciw niemu armję. W istocie udało się schwycić Rajsulego, ale nie na długo, gdyż bohater umknął wkrótce z więzienia, aby na nowo rozpocząć awanturniczy żywot. Władza i wpływy Rajsulego sięgały od Tangieru do Fez. Gdy Anglja chciała złożyć kabel na jego terytorjum, sprzeciwiał się temu, pobił wojska sultana, który go chciał do tego zmusić i wziął do niewoli sprawozdawcę „Timesa“ mr. Harris'a. Za dziennikarza otrzymał sowity wykup i to naprowadziło go na myśl zajęcia się odąd systematycznym chwytaniem Europejczyków. W roku 1904 wziął „do niewoli“ Amerykanina Perdicarisa i pewnego Anglika. Demonstracja floty angielsko-amerykańskiej zmusiła sultana do zapłacenia 400 000 franków Rajsulemu za wydanie pojmanyh. Porwanie angielskiego instruktora wojskowego Mac Leana przyniosło Rajsulemu 20.000 funtów szterlingów. Interes był lukratywny, a Rajsuli stał się wkrótce najbogatszym człowiekiem w Marokko. Ponieważ żył w niezgodzie, z sultanem, popierał zajęcia krajów przez Hiszpanów, za co jednak otrzymał sowite wynagrodzenie. Otrzymał od Hiszpanów tytuł namiestnika ze stałą „płacą“, czyli haraczem, który Hiszpanie płacili w pieniądzu i w broni. Wśród walk z Hiszpanami, które mimo zawartego układu trwały w dalszym ciągu, Rajsuli tracił zwolna na znaczeniu i wreszcie, zamknięty w swoim zamku warownym Tazarut, żył wprawdzie wolno, ale nie wydalal się poza obręb swojej warowni, gdyż bał się zemsty władz hiszpańskich. Wskutek okazywania od czasu do czasu sympatji Hiszpanom także Arabowie stracili do niego zaufanie. Gdy w roku 1924 Abd-el Kerim rozpoczął wojnę z Hiszpanami, przystąpił ten wódz wolnych Kabylów do oblężenia siedziby Rajsulego, co mu się wreszcie udało i Rajsuli poszedł do niewoli, a jego olbrzymie skarby wpadły w ręce zwycięzcy. Właśnie w niewoli umarł Rajsuli, jakby na przekór temu, że przez całe życie kochał namiętnie wolność i panowanie.

Ostatnia tajemnica Tutankhamena.

Wydawałoby się, że biedny Tutankhamen, którego ludzie tak męczą na wszystkie strony, po trzech tysiącach lat, zdradził już wszystkie tajemnice. Znamy jego klejnoty, sfotografowali jego koronę, zroentgenowali jego kości, zmierzylili jego czaszkę. Jednej rzeczy atoli nie wiemy, a mianowicie jak się właściwie nazywał? Nazwisko tego młodocianego władcy otacza taka płątanina, że żaden z filologów nie może znaleźć z niej wyjścia. Każdy z uczonych twierdzi, że jego sposób czytania nazwiska tego interesującego faraona jest właściwy, a tymczasem te sposoby różnią się bardzo między sobą. Jedyna nadzieja dowiedzenia się o prawdziwym nazwisku nieboszczyka, który tyle narobił hałasu na świecie, leży w odcyfrowaniu t. zw. „Księgi królewskiej“. Skoro przyjdzie do tego — dowiemy się, czy ta biedna ofiara namiętności archeologicznej nazywała się: Tutankhamen, Tutankamon, Tuton kamun, Tutenkamen, czy też jeszcze inaczej.